

Tradycje Stanisławskiego kontynuuje Teatr im. E. Wachtangowa

Rodowód Teatru im. Eugeniusza Wachtangowa, jednego z czołowych teatrów Kraju Rad, bawiącego obecnie w Polsce, sięga w prostej linii do wielkiego reformatora teatru rosyjskiego K. Stanisławskiego. „My z niego wszyscy” — powiedział na spotkaniu literacko-artystycznym w Poznaniu główny reżyser Teatru im. Mossowskiego Jurji Zawadzki, gdy mówiliśmy o Moskiewskim Teatrze Artystycznym (MCHAT) i jego twórcy.

Eugeniusz Wachtangow (1863 — 1922) był uczniem Stanisławskiego, wziął z jego szkoły najpiękniejsze cechy: głębię przeżyć i bezpośredniość wyrazu, ale pośledził odrębnym szlakiem, tworząc w 1920 roku tzw. Trzecie Studio MCHAT-u. Z pierwszego Studio powstał II Moskiewski Teatr Artystyczny, II Studio zespółło się wkrótce z MCHAT, a z IV Studio powstał Teatr Realistyczny. Były to odgałęzienia wielkiego pnia, który dał całą plejadę wieklich, wspaniałych talentów scenicznych.

Teatr im. E. Wachtangowa przeszedł wraz z jego twórcą trudną drogę poszukiwania najlepszych wykładników sztuki artystycznej i najwłaściwszego sposobu dostrzegania kroku narodowi w jego wielkich historycznych przemianach. Wachtangow, syn rodziny rosyjsko-ormiańskiej, wniósł początkowo do pracy scenicznej nieco skłonności orientalistycznej do mistycyzmu i symbolizmu. Stąd jego zainteresowania Mellerinckiem („Cud św. Antoniego”) a także Strindbergiem („Erick XIV”) i Ibsenem („Rosmersholm”). Żądanie jednak, jakie postawiła sztuka Wielkiej Rewolucji Październikowa głęboko wstrząsnęła Wachtangowem i otworzyła jego talentowi nowe możliwości rozwoju. Wachtangow był jednym z pierwszych wielkich reżyserów, który zdecydowanie stanął po stronie rewolucji. W widowiskach, które dawał, brzmiały tematy krytyki i po tej burzliwej rewolucji świata i egoistycznej moralności.

Wystawienie „Księżniczki Turandot” Gozziego było jeszcze wynikiem zmagania się Nowego ze Starym, ale już druga inscenizacja dała właściwy obraz sztuce, która przez szereg lat figurowała w repertuarze teatru i grana była przeszło tysiąc razy. Inszenizacja tej sztuki wywołała swego czasu wielką polemikę zarówno w Związku Radzieckim jak i na Zachodzie, który chciał dopatrzyć się w niej nowego zwrotu w radzieckiej sztuce scenicznej. Nowa inscenizacja uwypukliła cechy realizmu socjalistycznego, utwierdzając właściwy kierunek teatru im. Wachtangowa.

Twórca tego teatru zmarł młodo w 39 roku życia (1922). Uczniowie jego prze-



Ludowy artysta ZSRR — R. Simonow, główny reżyser Teatru im. Wachtangowa

cza — metoda realizmu socjalistycznego.

Teatr im. Wachtangowa ma w swoim bogatym dorobku artystycznym obok repertuaru klasycznego z Szekspirem na czele szereg sztuk pisarzy radzieckich o tematyce współczesnej. M. Gorki wysoko cenił Teatr im. Wachtangowa, dając mu w początkach lat trzydziestych pierwszeństwo wystawiania swoich sztuk. Sztuka „Jegor Bułyczow i inni” — Gorkiego w reżyserii Borysa Zachawy, stała się w Moskwie wielkim wydarzeniem artystycznym. Rozkład rodziny kupieckiej, stanowiący temat sztuki, symbolizuje upadek starej Rosji i jest niejako zapowiedzią urodzin nowego państwa ludu pracującego. W sztuce tej zabłysnął talent jednego z najwybitniejszych przedstawicieli teatru radzieckiego B. Szczukina.

Po tej sztuce wszedł do repertuaru „Dostigajew i inni” — Gorkiego, a dalej: „Przełom” — Ławreniowa, „Człowiek z karabinem” — Pogodina, „Makar Du brawa” i „Front” — Korniejczuka, „Młoda Gwardia” — Fadicjewa i inne sztuki, a w roku bieżącym widzą radziecki ujrzał w realizacji Teatru „Kronikę europejską” — Arbuzowa, „Kandydata partii” — Krowa, „Nowe

czasy” — Mdiwanego i „Raki” — Michalkowa, a z dawniejszych sztuk „Maskaradę” — Lermonowa.

W repertuarze czołowym obok „Jegora Bułyczowa” Gorkiego, zajmuje poczesne miejsce sztuka pisarzy chińskich — He-Tsin czy Din-Ni „Dziewczyna o białych włosach”, odznaczona Nagrodą Stalinowską. Sztuka ukazuje wielki ruch wyzwolenia narodu chińskiego, walczącego o niepodległość swej ojczyzny.

Szereg inscenizacji Teatru Wachtangowa weszło do skarbnicy szczytowych osiągnięć radzieckiej sztuki scenicznej. Teatr ten ma doskonały zespół aktorski, w którym występują przedstawiciele różnych pokoleń. Po śmierci Wachtangowa jego uczniowie i kontynuatorzy Rubien Simonow, Borys Zachawa, Borys Szczukin, Cecylia Mansurowa, Anna O. roczka i inni rozłożyli troskliwą opiekę nad młodym teatrem. Szczukin stworzył własną szkołę, z której wyszli: A. Parafianak, siostry Halina i Laryca Puzkowne, N. Maliszewski, Gunzenko, Korowin i inni.

Przybycie jednego z najwybitniejszych teatrów radzieckich do Polski jest ważnym wydarzeniem w naszym życiu kulturalnym. W powiązaniu z niedawną gością Teatru im. Mossowskiego, który tak miłe, niezatarte pozostawił wspomnienie, ujrzymy śmiałość rozwiązań artystycznych w nowych, twórczych inscenizacjach, którym drogę wskazał wielki K. Stanisławski.

H. Barański



W. G. Kolesow w sztuce Gorkiego „Jegor Bułyczow i inni”
Fot. (3) — CAF

Grzegorz Timofiejew

Pałac Kultury i Nauki

Przez pięć lat w Guzen ostatkiem siły
Ciosano kością bezbronnej ręki
Kamieniomów ogromne bryły
Martwe a pełne człowieczej męki.

Bo miał w Berlinie na postrach ludów
Stanąc olbrzymi pałac zwycięski,
Lecz się nie dźwignął z krwawego trudu —
Przygniótł zbrodniarzy ciężarem klęski.

Nie! Nie powstanie na świecie, wierzcie,
Nic z ludzkiej krzywdy i nienawiści!
Tylko w przyjaźni, tylko w braterstwie
Twórcze największe dzieło się ziści.

Jadą ze Związku pociągi z głazem.
Lokomotywa jak serce pała.
Z walki o pokój podjętej razem
Z dziejów przyjaźni wyrasta pałac

Żeby świadectwem był pałac w walce
O szczęście ludu, o trud i pokój,
By na stronie dzieł kładli palce
Synowie robotników i chłopów.



A. I. Borysow w roli doktora w sztuce Gorkiego „Jegor Bułyczow i inni”

szli wielką drogę twórczą. Niektórzy, jak Szczukin, Zachawa, Mansurowa, J. Zawadzki, R. Simonow, Tołczew now zajmują dziś czołowe miejsca w teatrze radzieckim. Wszystkich silnie zespala wspólna metoda twór-

Obrzywał Pieniędzy

Napisał: Zygmunt Jaski

Niepozorny chudy człowieczek w podniszczonym ubiorze, stojący tuż za adwokatem, to on — Wiktor Płaczek. Twarz spocona i pobladła wzruszeniem, wargi rozdygotane nerwowo, oczy błędzące niespokojnie po sali, pokorne, zestrojone z wszystkimi mięśniami twarzy na nutę przymilnej układności — oto obraz człowieka, który chce wyglądać na to, że w żaden sposób nie może być winnym, a jeśli nawet pobłądził to jedynie na skutek jakiegoś fatalnego i niezrozumiałego dlań zbiegu okoliczności.

Przed stołem sędziowskim stają rzędem świadkowie, przeważnie sąsiedzi Płaczka i wyrobnicy, których zatrudniał. Składają przysięgę, że będą mówili tylko szczerą prawdę. Niespokojne spojrzenie Płaczka przesuwają się po twarzach świadków i zatrzymuje na niskim, szczupłym, może 14-letnim chłopcu z płową czupryną, który patrzy na ławę oskarżonych jak zahipnotyzowany. Płaczek wwierca się w wyłkniętego chłopca bodzącym spojrzeniem spod zsuniętych brwi, spojrzeniem, które straciło nagle dotychczasowy wyraz układowej grzeczności i stało się ostre, przenikliwe. Chłopiec nie może wytrzymać tego wzroku. Opuszcza oczy i widzi jak Płaczek, zaciskając prawą dłoń w kształt kulaka, grozi mu zza pleców adwokatów w sposób dla wszystkich innych niewidoczny, krótkimi lecz jakże wymownymi poruszeniami pięści.

Nie — scena, która za chwilę rozegra się na tej sali nie będzie sceną mniej lub więcej nieszczerzego kłajania. Zanoszą się na dramatyczną walkę, w której strona oskarżona nie zawaha się zastosować wolno-amerykańskiej zasady: każdy chwyt dozwolony.

Wiktor Płaczek ma 54 lata. Najmłodszego syna obdarował niedawno trzynastoma hektarami ziemi, lecz syn nie gospodaruje samodzielnie. Pomaga ojcu prowadząc z nim wspólne gospodarstwo. Drugi syn ma samochód, taksówkę w Szczecinie. Córka wyszła za mąż za bogatego kupca poznańskiego, byłego właściciela dużego magazynu meblarskiego. Płaczek miał do niedawna 58 hektarów ziemi, ale połowy tego obszaru wyżył się różnymi sposobami. A to wydzierżawił, a to oddał na zalesienie, a to rozdzielił dzieciom. Ziemia jego należy w ogromnej większości do dobrych. Płaczek jest do dziś jednym z najzamożniejszych gospodarzy gromady Naramowice pod Poznaniem. Zatrudnia dwie sily najemne oraz dorywczo pastuszkę. Trzyma cztery konie, dziesięć krów i jedenaście świń.

— Dlaczego oskarżony nie wykonał planu odstaw? — pada pytanie przewodniczącego po ustaleniu powyższych danych.

Płaczek przestępuje z nogi na nogę i mówi z obłudnym uśmiechem:

— To jest nieporozumienie. Plan był mylny. Nie uwzględniłem że 4,5 hektara oddałem małorolnym. Złożyłem odwołanie.

— I co?

— I plan mi zmniejszyli z piętnastu na dwanaście ton.

— A oskarżony odstawił z tego tylko 12 procent.

— Więcej. Po przesłuchaniu u pana prokuratora dowiedziałem jeszcze ziarna. Razem odstawiłem 4628 kilogramów.

— A więc dopiero na skutek interwencji oskarżony podniósł odsetek odstawianego zboża z 12 do 40 procent planu. Dlaczego oskarżony nie wykonał obowiązku w całości?

— Jest niemożliwością, proszę Wysokiego Sądu. Mrozy zniszczyły mi zbiory. Żyto nie sypało w tym roku. Po odstawieniu zostało mi, aby na utrzymanie domu i inwentarza. Nic więcej dać nie mogę. To co mam, potrzebuję dla gospodarstwa.

Młoda sekretarka sądowa w okularach notuje wszystkie słowa oskarżonego z wielką starannością. Przewodniczącym trybunału jest starszy, spokojny pan o ujmującym wyglądzie i dobronliwym głosie. Prokurator siedzi nieporuszony i nie przeszkadza oskarżonemu ani słowem ani gestem. Płaczek nabiera otuchy. Bał się, że to będzie jakiś inny proces niż normalne, że runie na niego lawina oskarżeń i potępień, że nie dadzą mu się w pełni wypowiedzieć, że będą torpedować jego słowa sarkazmem i ironią, że potępią go z góry, jako wroga politycznego. Wychodząc z tego założenia polecił żonie nie skąpić na adwokata. Ma jednego z głosnych przed wojną obrońców poznańskich. Mecenasi siedzi tuż przed oskarżonym z przykniętymi oczami i zda się drzeć. Kiedy zachodzi potrzeba, adwokat powstaje szybko z miejsca i rzuca swą kwestię z wielką przytomnością umysłu.

Płaczek nabiera ufności. Na sali pełno znajomych z Naramowic. Jest i żona w eleganckim palcie z samodziu. „Baba bez rozumu!” — myśli ze złością Płaczek, patrząc na wielobarwny szalik i fantazyjne nakrycie głowy żony. — Akurat do sądu musiała się tak wystroić! — On sam ubrany jest w swoje najgorsze ubranie i kusę, podniszczoną jesienką, najpewniej po synu.

— Nie mogę dać więcej! — powtarza Płaczek o wiele głośniejszym, pewniejszym to-

nem. — Gdybym odstawił więcej zboża po pełniłbym sabotaż!

Po twarży obrońcy przebiegł krótki skurcz niezadowolenia. Sędzia zamrugał powiekami. Nawet nieporuszony prokurator obrócił głowę w stronę zeznającego.

— Co oskarżony by popełnił?

— Sabotaż!

Płaczek zaperza się. Rozumie, że teraz, kiedy wyrzekł to słowo musi zagrać na całego. Zestraża twarz na nutę świętego oburzenia i prawie krzyczy z histerycznym wysiłkiem:

— A tak! Bo czem bym wykarmił inwentarz? Musiałbym wówczas zmarnować wszystkie stwory. A to byłoby sabotaż!

Sędzia uśmiecha się leciutko, ale Płaczek nie widzi tego w swoim zaperzeniu. Jego gra jest prosta: ma przed sobą ludzi miastowych, którzy z pewnością nie mają pojęcia o warunkach gospodarowania na wsi. Rolnicy wiedzą dobrze, że za każdą odstawioną sztukę nierogacizny państwo daje rolnikowi oprócz zapłaty w gotówce paszę treściwą, która wystarcza na wyhodowanie nie jednej, a dwóch świń. Ale ci z miasta? Płaczek wyobraża sobie, że odniósł pierwsze zwycięstwo i triumfalnie toczy okiem dookoła sali.

— Niech nam oskarżony powie, jak to było z lokomobila i młockarnią? — brmi następne pytanie sędziego. — Podobno zażądaliście ich, a jak wam przysłało, odesłaliście po dwóch godzinach użytkowania?

Płaczek ma od powiedz gotową.

— Z agregatem to było małe nieporozumienie. Za drogi był 50 złotych za godzinę. Nie kalkulowałem się. Zrobiłem co najpiłniej, a resztę miałem domłocić turbiną.

— Jeszcze jedno: czy oskarżony zalega z podatkiem?

— Niby zalegam. Pięć tysięcy. Ale właśnie miałem płać.

— Dziękuję, oskarżony może sięść. Proszę wprowadzić świadka Karola Pawlińskiego.

Przed stołem sędziowskim stoi teraz rzeczoznawca, instruktor rolny, który jest doskonale zorientowany w jakościach gleby, rozmiarach urodzajów oraz możliwościach produkcyjnych naramowickich gospodarzy. Pawliński, to człowiek bystry i zdecydowany, dobrze znający się na rzeczy. Nie daje się zachwiać podchwytliwym pytaniem obrońcy. Zdanie swoje podtrzymuje konsekwentnie i stanowczo. Każdą nową myśl podkreśla energicznym ruchem głowy, po którym żywa twarz jego zamiera na chwilę w bezruchu, a ciemne, błyszczące oczy wpijają się z mocą w łagodnie oblicze przewodniczącego.

Pawlińskiemu wiadomo, że Płaczek wysiał zbożem 20 hektarów, w tym połowę żytem, a resztę — jęczmieniem, owsem, pszenicą i mieszanką. Pawliński oglądał komisyjnie pola naramowickie zaraz po wiosennych przymrozkach. Stwierdzono gdzieś tam przemarznięcia żyta, nieprzekraczające 20—30 procent obszaru żytynich ozimów. Mniej więcej dwie trzecie przemarzniętych roślin odżyło i wydało plon, dzięki regeneracyjnej sile wegetatywnej samej przyrody. Biorąc to wszystko pod uwagę świadek stwierdza, że oskarżony zbierał z hektara: żyta około 8—9 kwintali, a innych zbóż 12—13 kwintali. Takie same zbiory mieli również inni gospodarze okoliczni i wcale się ich nie wypierają. W Naramowicach, opowiada dalej świadek, 80 procent małorolnych wywłaziło się już w pełni z obowiązku odstawy zboża. Jeśli zaś chodzi o gospodarzy bogatszych, procent tych, którzy sprzedali państwu wymaganą ilość ziarna, wynosił zaledwie 30.

— Duża w tym wina oskarżonego — kończy Pawliński — jest to gospodarz największy, który ma opinię niezwykłego obrotnego. Wiadomo mi, że inni ociągali się z wypełnieniem swoich obowiązków, czekając co uczyni Płaczek. On zaś nie tylko sam nie odstawiał ale i zachęcał innych do oporu.

— Powróćmy do tych faktów — mówi sędzia — a teraz proszę nam wytłumaczyć, jak to było z owym agregatem?

Płaczek ma własną turbinę, ale niski stan wody nie pozwalał mu korzystać z tego urządzenia. Zwrócił się więc do GOM-u z żądaniem przysłania agregatu. Kiedy jednak lokomobila i młockarnia przybyły, Płaczek odesłał zespół po dwóch godzinach pracy, nie podając żadnych powodów. W tydzień później on sam tłumaczył mi, że gdyby wymłócił całość, nie miałby gdzie ulokować zboża. Zaznaczam, że ma on duży spichrz i przytykającą doń przybudówkę, w których można zmieścić bardzo duże ilości ziarna.

— A jak się świadek wyraża, dlaczego oskarżony nie korzystał z agregatu do końca? Czy może wypożyczenie jego kosztowało zbyt dużo?

(Ciąg dalszy na str. 2)

OBYWATEL PIENIĄDZA

(Ciąg dalszy ze str. 1)

— Gdzie tam! Co to jest 50 złotych dla dużego gospodarza, który ma 10 krow i z samego mleka zbiera tysiące złotych miesięcznie. Sprawa jest prosta: nie chciał się zdradzić przed obsługą maszyn i ludźmi pomagającymi, ile ziarna zebrał w rzeczywistości. Wymógł więc tylko tyle, ile potrzebował na bieżące potrzeby. Resztę mógł po trochu przy użyciu własnej turbiny. Tego oczywiście nikt już nie mógł zauważyć ani skontrolować.

Trzeba było wyjmować siła

Teraz zabiera głos prokurator.

— Oskarżony opowiadał nam tu, że jego zboże w tym roku nie sypało. A co mówili na ten temat ludzie, którzy pracowali przy agregacie?

Pawliński uśmiecha się.

— Zboże mocno sypało i trzeba było wyjmować siła. Tak mówili do mnie ci ludzie.

— Proszę to wytłumaczyć.

— Jak zboże dobrze sypie, to leca duże ilości ziarna i siła nie nadąża przesiewać. Wtedy się je wyjmuje.

— A jak to było z Płaczką w roku zeszłym. Czy też twierdził, że mu zboże nie sypało?

— W zeszłym roku narzekał, że mu dzikie króliki wyniszczyły.

— Czy wypełnił wówczas swój obowiązek?

— Był karany grzywną 900 złotych za zwiokę w odstawi.

— A może rzeczywiście miał straty przez króliki, Pawliński macha ręką.

— Gdzie tam! Wystarczyło mu zeszłoroczne zboże aż do żniw.

Prokurator zwraca się do trybunału.

— Dziękuję, nie mam więcej pytań.

Płaczek pochyla się do przodu i szepce do ucha swego obrońcy, który notuje coś bez przerwy na luźnych kartkach papieru, zda się nie słuchając ani przewodu, ani samego oskarżonego. Twarz oskarżonego zmienia się jak kameleon. Raz marszczy się w wyrazie udanego oburzenia: „Coś podobnego! Ależ to nieciekawe kłamstwo! Kiedy indziej zastęga w rzekomej boleści: „To nie tak ludzie, to nieporozumienie!“ Kiedy świadek wspomina o wyjmowaniu sił z młockarni, Płaczek zagryza nerwowo wargi i wbija tępy wzrok w plecy adwokata.

„Umie dobrze kręcić...“

Przed trybunałem stają kolejno pozostali świadkowie. Rolnik Jan Kubiak, kowal Stefan Strażyński, piekarz Feliks Wachowiak i średniololny gospodarz Jan Janduda. Oskarżony zwracał się im, że zboże sypało dobrze. Wiadomo było powszechnie, że Płaczek nie ma zbiorów nadzwyczajnych, ale też nie ma złych. W gromadzie nie uważa się Płaczka za człowieka solidnego. „Umie dobrze kręcić na swoją stronę“ — stwierdza Strażyński. „Bardzo chytry na grosz“ — oświadcza Kubiak. „Opinia jest o nim we wsi kiepska“ — mówi Wachowiak. Janduda ma 10 hektarów ziemi i dwie dusze. Jedna każe mu przyznać, że u Płaczka zboże nie wymarło wiele, bo on ma ziemię na ogół ciężką, a żyto jeżeli gdzie uciierało, to wyłącznie na ziemiach lekkich. Jednak druga dusza każe mu wymigiwać się od udzielania jasnych odpowiedzi na inne pytania przy pomocy nieokreślonego: a bo ja wiem.

Z kolei zjawia się świadek odwodowy, zgłoszony do procesu przez obronę. Jest to 61-letnia wyrobnica, zatrudniana przez rodzinę Płaczków od lat dwudziestu. Nie czekając na pytania sędziego, jeszcze nie doszedłszy do stołu sędziowskiego wybucha o na lamentem na temat złych urodzajów i oświadcza kategorycznie, że zboża nie wystarczy nawet na utrzymanie inwentarza. Na wszystkie pytania sądu odpowiada jęklonie, że kiepskie urodzaje i zboża nie starczy dla inwentarza. Swoich ogólnikowych stwierdzeń, którym gorąco

przytakuje z ławy oskarżonych Płaczek, nie potrafi poprzeć żadnym argumentem. Nie wie ile jest zboża nie wymłóconego w stodole, a ile nad turbiną. Ile wymłóconego w spichrzu, a ile w przybudówce, ile sypało z hektara żyta, a ile owsa i jęczmienia. Wie tylko, że „urodzaje były kiepskie i zboża nie starczy dla inwentarza“.

Powtórzyła jeszcze to zdanie niby wyczoną lekcję ze trzy razy i poszła uśiąść wśród publiczności, koło pani Płaczkowej. Po drodze obrzuciła swego szefa i pracodawcę litosliwym spojrzeniem, po czym kilka razy potrząsnęła ze zgrozą głową. Wreszcie usiadła w ławce i natychmiast rozpogodziła się. Odtąd widziła starczymi oczami po sali z wyrazem ukontentowania, niemal wesołości.

Kiedy następny świadek stanął przed trybunałem, na sali uczyniło się niezwykle cicho. Ustąpiły szurania nogami i chrząkania. Nikt nie chciał uronić nic z zeznań świadka, choć był to tylko mały, wąty pastuszek z płową czupryną, Bogdan Cierkosz. Bogdan mówi nieśmiało, trzeba mocno wyteżyc ucha, aby go w pełni zrozumieć. A przecież słuchają go wszyscy z zapartym tchem.

Praca za osiem złotych

Pracował u Płaczka od maja do września, zgodzony na pastucha do bydła. Wstawał o szóstej rano, wracał do domu o siódmej wieczorem. Za pracę swą dostawał 8 złotych dziennie.

— Czy byłeś chłopce zadowolony z pracy? — pyta przewodniczący.

Chwila ciszy, a potem niewyraźnie:

— Czasami tak, czasami nie.

— Powiedz nam jak to było, kiedy byłeś zadowolony a kiedy nie?

— Jak była lekka robota to byłem zadowolony...

Przez salę przebiega szmer wesołości. Sędzia ucisza zebranych i pyta dalej.

— Mówiłeś nam, że byłeś zgodzony do pasienia bydła. To chyba jest praca lekka?

— No pewno — odpowiada chłopiec — tak samo przy koniach.

— To przy koniach też robiłeś?

— Robiłem koniami w polu.

— Co?

— Wszystko, siałem, orałem, bronowałem.

Płaczek wierci niespokojnie głowę i umyka oczami aż pod sufit. Jego obrońca nie dostrzega nic poza swoimi notatkami. Przewodniczący sądu pochyla się do przodu i usiłuje ośmielić świadka jednym ze swych pogodnych uśmiechów. Prokurator, którego twarz zacina się teraz w jakimś nieokreślonym skurczu, bez przerwy patrzy na ręce chłopca. Są to dłonie niesamowicie duże w stosunku do małego, dziecięcej sylwetki świadka, rozbite ciężką pracą ręce.

— Więc praca przy koniach była ciężka — mówi dalej sędzia. Chłopiec ożywia się. — Nie, lubię pracować przy koniach, ale...

— Co ale?

— Najgorzej było...

Kiedy Płaczek pasł krowy?

Chłopiec szuka wyrazu, opuszcza głowę i nagle wybucha płaczem. Łka głośno, zanosi się po dziecięcemu. Sędzia stara się go uspokoić przyjacielskimi wyrazami. Po dłuższej chwili chłopiec opanowuje się i opowiada rwanymi zdaniami, że najciężiej było mu pracować przy wyrzucaniu z obory gnoju, do czego zmuszał go gospodarz.

— A co robił w tym czasie on sam? — pyta sędzia.

— Pasł krowy. Przychodził po mnie na łąkę i kazał mi iść do gnoju, a sam zostawał z krowami.

Prokurator wstaje.

— Czy byłeś zgłoszony do Zakładu Lecznictwa Pracowniczego? — pyta.

— Nie.

— Czy chodziłeś do szkoły?

— Nie.

— A jak twoim zdaniem obrodziło zboże u oskarżonego?

— Owies, jęczmień i pszenica były bujne. Żyto trochę

słabsze, ale i przy życie namęczyliśmy się ze snopowiązałką.

— Co to znaczy?

— Stawała nam.

— Dlaczego?

— Jak się nadjedzie na silniejsze żyto, to snopowiązałka zatrzymuje się.

— Czy oskarżony miał zboże z zeszłego roku?

— Tak, jeszcze w żniwa widziałem 10 cetnarów.

Biadolenie i prosta prawda

— Czy widziałeś, żeby oskarżony sprzedawał zboże?

— Widziałem. Syn Marciniakowej przyjeżdżał po zboże trzy razy i mówił, że jego matka kupuje. Kazimiera Przybylak brała w zbożu zapłatę za robotę. Czekala też kupił jeden cetnar.

— A jak to było w tym roku z odstawą jęczmienia?

— Z jęczmieniem to było tak: gospodarz próbował odstawić ziarno zatechę z zapachem. Ale jęczmienia nie przyjęli i musiał go przywieźć z powrotem do domu.

— Gdzie widziałeś zboże u oskarżonego?

— W przybudówce, za spichrzem.

— A w samym spichrzu?

— W samym spichrzu nie.

— Co jest większe: czy przybudówka czy spichrz?

— Spichrz. Spichrz jest bardzo duży ale pusty.

— Gdzie jeszcze widziałeś ziarno?

— Nad turbiną stałe było kilka worków.

— A zboże w kłosach?

— Jęczmień jest nemiłocony w stodole.

— Ile?

— Tak, do czterech metrów wysokości. Przykryty siomą.

— W stodole i przykryty?

Po co?

— Nie wiem.

— A byłeś kiedy przy różnielcu sieczki dla koni?

— No pewno, byłem.

— Czy różnięto siomę razem z pełnymi kłosami żyta?

— Tak, potem gospodarz dodawał do tego jeszcze śrut.

Prokurator ślady.

— Dziękuję — nie mam więcej pytań.

Sumienie i para butów

Przed stołem sędziowskim stała ostatni świadek oskarżenia, 15-letni Stanisław Zawala. Jest to chłopiec bardzo już wyrośnięty i silniejszy. U Płaczka pracował przez dwa miesiące na tych samych warunkach co Bogdan: 8 złotych dziennie za pracę przy wszystkim, do orania włącznie. Zawala upominał się o wyższe wynagrodzenie, bo pracę miał cięższą niż określono w umowie. Płaczek najpierw obiecał mu dodawać po 2 złote dziennie za ciężką pracę, ale potem nie wspominał o obietnicy ani razu i wypłacał dniówki po staremu. Kiedy chłopiec nagabnął go o dopłatę, Płaczek zachnął się: „Czy ja pamiętam kiedy ty co robiłeś? Musiałbym chodzić za tobą z zeszytem i zapisywać“. Zawala widział trzy razy jak Płaczek ładował po 5—6 worków żyta na wóz. Było to wówczas, kiedy udawał się na rynek. Widział również jak do zagrody Płaczka przyjeżdżał jakiś samochód, na który ładowano coś z produktów rolnych, ale nie wie dokładnie co to było. Sam prosił gospodarza, aby mu odstąpił trochę ziarna dla gołębi, ale Płaczek odpowiedział mu, że nie może, bo kiedy sprzedawał żyto Okrasowej, to zaraz zaczęły się plotki.

— A jak to było z butami? — pyta przewodniczący.

— Jak przyszedłem do pracy, to pan Płaczek dał mi stare buty, takie schodzone z dziurami do roboty. Robiłem w nich dwa miesiące. Ale jak potem przyszedłem i powiedziałem, że więcej robić nie będę, to pan Płaczek kazał żebym ściągnął buty z nóg i mu oddał.

— A ty co zrobiłeś?

— Ściągnąłem buty i oddałem.

— A jak wróciłeś do domu?

— Boso.

— Musiałeś zmarznąć...

— Zmarzłem, bo to było rano, a ja mam daleko do domu. Na dworze był już szron.

„Sukinsyn“ — zabrzmiało zduszonym głosem w pierwszym rzędzie ławek. To młody milicjant, konwojent, nie może opanować oburzenia. Publiczność siedzi nieporuszenie, niby zmrożona lodowatym podmuchem. Płaczek opuszcza nisko głowę i bebn palcami po daszku czapki, gnębionej nerwowo w palcach.

Lista świadków jest zamknięta.

Zestawienie — które wiele wyjaśnia

„Ustalmy teraz fakty — reasumuje prokurator w mowie oskarżycielskiej — świadek kowie zeznał, że oskarżonemu wymarło najwyżej 20 procent żyta. Dlaczegoż tedy, pytam się, nie odstawił on chociażby 80 procent planu? Oskarżony zebrał w całości 24 tony zboża. Plan odstawy wynosił dla niego 12 ton. Z tego dobrowolnie odstawił półtorej tony, a przestraszony interwencją władz dodał jeszcze cztery tony. W sumie odstawił zaledwie 40 procent planu, sprzedając państwu mniej niż czwartą część tego co zebrał. W chwili, kiedy toczy się bitwa o chleb dla robotników, którzy ponoszą największy ciężar rozbudowy naszej Ojczyzny, oskarżony, mając w swojej dyspozycji duże ilości owsa, który mu obrodził szczególnie korzystnie — oskarżony różną kłósy żyta na sieczkę dla koni. Oskarżony skarżył się obłudnie, że zebrał bardzo mało ziarna. Ale kiedy mu dano możliwość wy-

kazania się przed całą wsią — odesłał lokomobilę po dwóch godzinach, bojąc się ujawnienia prawdziwego stanu rzeczy. Wśród jego sąsiadów panowała opinia jednogłówna: Płaczek chowa zboże na pasek. To wszystko razem nie jest nieporozumieniem, jak to nam za każdym razem oświadczał oskarżony. To wszystko jest bardzo jasne. Oskarżony świadomie idzie na rękę wrogowi, który stara się wszelkimi sposobami przeszkadzać nam w umacnianiu Polski Ludowej.

Kim jest oskarżony? — pyta dalej prokurator.

— Zestawmy kilka danych.

Przed wojną był on społecznym tak czynny, jak dziś jest bezczynny. Był prezesem kółka rolniczego, przewodniczącym Spółki Łowieckiej i wiceprzewodniczącym Akcji Katolickiej. Podczas okupacji, aby utrzymać majątek w swoich rękach, z własnej woli, przez nikogo nie przymuszony, dwukrotnie składał wniosek o wpisanie go na listę VD. Kiedy Niemcy odrzucili jego prośbę, oskarżony prosił, aby przynajmniej wykreślono go z listy Polaków, gdyż uważa że jest Niemcem. Tak, oskarżony nie jest Polakiem, oskarżony wykreślił się sam z listy Polaków. Oskarżony jest brutalnym kapitalistą dla którego tam jest ożyźnia, gdzie można dobrze zarobić. Jego ożyźnia jest pieniędz.

Sędzia udziela głosu sławnemu obrońcy, który mówi przedko i monotonicznie, dobierając słów łagodnych i wielce wyrozumiałych. W jego mowie pełno takich wskazań jak: „należy brać życie tak jak ono się toczy“ oraz „los płała czasem człowiekowi figle i odwraca kierunek jego dążeń“ co ma oznaczać, iż Płaczek zwlekał w roku ubiegłym z odstawą aż do ukarania nie ze swojej winy.

Jest już wieczór. W sali sądowej płoną światła elektryczne.

— Co oskarżony powie nam w ostatnim słowie? — zapytuje przewodniczący, składając teczkę z aktami.

Wszystkie głowy zwracają się w stronę Płaczka. Ostatnie słowo oskarżonego to wąska szczelina, przez którą zazwyczaj widzi się dobrze wnętrze zamkniętego mózgu i nie tylko mózgu obwinianego człowieka. Co przyjął z procesu Wiktor Płaczek? Czy przełamał się wewnętrznie? Jak teraz patrzy na swą dawną działalność?

Zeby nikogo

nie... demoralizować

Płaczek wstaje. Oczy mu błyszczą, nerwowa twarz gotuje się do ważnego, ostatniego w tej sprawie wystąpienia. Mowa obrońcy, której Płaczek słuchał z nietajoną satysfakcją, a która jemu wydała się szczytem prawniczego sprytu — natychmiast go nową dozą zuchwałości.

— Nie mogłem młodził agrem przy całej wsi — woła czując że incydent z lokomobilą jest jego najslabszym punktem. — Nie mogłem dlatego, że wszyscy widzieliby jak mało sypało zboże i byłoby to demoralizacja dla innych!

Nic nie ma więcej do powiedzenia Płaczek po sześciu godzinach przewodu sądowego. Jeszcze jeden chwyt kręta, oto czym żegna Płaczek salę sądową. Płaczek — w roli szlachetnego obrońcy praworządności i lojalności. Wśród publiczności wykwitają ironiczne półuśmiechy.

W dwie godziny później ogłoszono wyrok.

Za złośliwe, w pełni przewodem sądowym udowodnione uchylanie się od obowiązku dostaw zboża dla państwa, Wiktor Płaczek z Naramowicz skazany został na jeden rok więzienia.

ZYGMUNT JASKI

Zofia Andrzejewska

HRABINA

WACŁAWOWI MILEWSKIE-MU, towarzysowi dzieciennych zabaw i młodzieńczych marzeń o lepszym życiu — dziś pracującemu chłopu gromady Koryta w powiecie krotoszyńskim, opowiadanie to poświęcam.

Wakacje spędzaliśmy zwykle u babci na wsi. Matka mówiła, że nam się to bardzo przyda po całorocznym oddychaniu stęchłego suterenu mieszkania. Co roku, gdzieś już w kwietniu zaczynało się w domu mówić o wyjeździe.

Sprawa nie była taka prosta, bo mimo, że życie na wsi było tańsze niż w mieście, to trzeba było na nie mieć pieniędzy, a u nas w domu nigdy jakoś złotych za dużo nie było. Ojciec listonosz zarabiał niewiele. Żyliśmy więc na tak zwany „borg“, czyli kredyt. W matczynej sfatygowanej torebce były dwie takie książeczki, w których rzędnik i sklepikarz zapisywali długi naszych żołądków.

Abymy mogli pojechać na wakacje, matka prała bieliz-

już 75 lat i pamiętała powstanie styczniowe.

Meza babci, dziadka Walika, nie zaliśmy. Zmarł na astmę jeszcze przed wojną światową. Właściwie było inaczej, o czym nam opowiadała sąsiadka. Zastrzelił się fusją pożyczoną od gajowego. Osiem lat męczyła go choroba. Lekarz do dworu przyjeżdżał raz na rok. Bo to miał czas dla folwarczanego? Więc mąż babci tak się męczył aż skończył z sobą. Był to okropny wstyd, bo ksiądz nie chciał dziadka pochować na święconym miejscu. Zakopano ciało na końcu cmentarza pod płotem. Chociaż minęło już 18 lat od tego wypadku, babcia co piątek leżała dwie godziny krzyżem, przed wielkim ołtarzem w koryckim

„mądra“ z Ligoty i zmywała naparem z ziół, ale to nie pomagało. Matka mówiła, że ciotka Barbara choruje ze zgrzyoty z powodu jej meza — wuja Franka. Wyjechał on w 1924 roku na pracę do Westfalii i zaginął gdzieś w świecie, nie dając znaku życia. Nasza mała kuzynka Ludwisia, córka ciotki Barbary mówiła zawsze, że tatuś na pewno niedługo wróci i przywiezie dużo pieniędzy, a wtedy mama wyzdrowieje i wszyscy będą mieli dobrze. Chwilowo jednak marzenia Ludwisi się nie spełniały i życie w Korytach wlokło się różnecem trudnych, smutnych dni.

Mieszkanie krewnych z Koryt było bardzo ciasne i niewygodne. W niedużej izbie mieściły się dwa łóżka, stół, ława, skrzynia na ubrania, piec żelazny oraz mała szafka do garnków i talerzy. Nasz przyjazd wstawiano jeszcze jedno łóżko, pożyczone od sąsiadów. Spaliśmy po trzy osoby. Do izby przylegała jeszcze mała komórka. Mieszkało w niej 6 kur i kogut przezwany przez nas „ekonomem“, bo był strasznie krzykliwy. Pogadkiwane naszych sąsiadów z komórki sprawiało, że budziłyśmy się ze świtem, gdy wszyscy w Korytach zaczęli robotę.

Po zjedzeniu gorącej zacierki wybiegaliśmy przed czworaki. Na podwórzu uwiłaja się Pokraczyna, sąsiadka babci, szykując karmę dla wieprzka i pojąc krowę-żywielię. Spieszyła się bardzo Musiała przecież zaraz szykować śniadanie dla domowników, których była liczna gromadka. Pokraka i jego dwóch synów szli na szóstą z ciotką Marynią do roboty w pole. W domu zostawało pięcioro dzieci. Przy studi co dzień mył się stary Antczak, prychając sponad siwych, porudziałych od tytoniu w-



nę, chodziła gotować na chrzciny i wesela lub w najgorszym razie posilała rzeźniczkę, aby ta poczekała z miesiąc na zapłatę.

Wakacje były zwykle podwójną przyjemnością. Dla nas i krewnych na wsi, którym przywoziliśmy parę groszy, a u nich stałe był głodny rok. Babcię z Koryt (tak nazywała się wieś) lubiliśmy ogromnie. Darowała nam strofowania nasze dziecięce psoty. Umiała pięknie opowiadać ciekawe historie ze swego długiego życia. Miała

WYSTAWA ODRODZENIA



Wiceprezes Rady Ministrów — Józef Cyrankiewicz otworzył 25 października br. wystawę „Odrodzenie w Polsce”. Na zdjęciu: model młyna wodnego do poruszania maszyny foliowej oglądany przez wiceprezesa Rady Ministrów.

CAF — fot. Baranowski

Czterdzieści sal wystawy Odrodzenia w Muzeum Narodowym w Warszawie opuszcza się z uczuciem dumy. Nie z powodu jej organizacji, architektonicznych czy graficznych rozwiązań, (które wywołują w każdej niemal sali szmer uznania zwiedzających) albowiem w epoce budującego się w Polsce socjalizmu trudno jest dziś kogoś zadziwić osiągnięciami organicyzacji. Uczuciem dumy napędza co innego: nagle uświadomiony dzięki wizualnej koncentracji nasz wkład w kulturę ogólnoludzką, w szlachetną epokę Odrodzenia. Rozproszone w naszej świadomości fakty i daty historyczne nagle ożywają w zwartej bryle: nauki, piśmiennictwa, sztuki. Przecież wiemy od dawna, że Kopernik dokonał „czynu rewolucyjnego” — gdy „wstrzymał Słońce, ruszył Ziemię”. Ale dopiero tu, w sali oznaczonej nr 27, gdy spoglądamy na szacowny autograf jego nieśmiertelnego dzieła, „O obrotach ciał niebieskich”, gdy patrzymy na modele prymitywnych narzędzi wielkiego astronoma — dopiero wówczas w pełni ogarniamy wielkość tego tytana polskiej myśli naukowej, który wyszedł z mro-

ków średniowiecza — nie tylko wyzwolił naukę z teologii, ale w rezultacie — przyczynił się do wyzwolenia człowieka z pęt wiary w grę ślepych sił przyrody, do pełniejszego poznania drogi badań poznawczych. Na drogę, która po wiekach zacofania doprowadziła nas dziś do wprężenia sił przyrody w służbę człowieka.

Gdy w pierwszych dwunastu salach wystawy oglądamy grafiki, reprodukcje starych sztychów, mapy wojen chłopów, przedwiośenne narzędzia pracy i inne materiały muzealne, objaśnione i skomentowane w sposób zrozumiały i dostępny dla każdego — jasnym się staje konsekwentny rozwój historyczny tamtej epoki, zrozumieliśmy — upadek w wieku XVII za rządów oligarchii magnackiej i reakcji katolickiej, wyraźniejsza — nie humanizmu łącząca wojowników polskiego Odrodzenia — Kochanowskiego, Reja, Frycza-Modrzewskiego, z późniejszymi walkami wyzwoleniczymi ludu polskiego, uwiecznionymi zwycięstwem klasy robotniczej, która do tradycji Odrodzenia z takim pietyzmem nawiązuje.

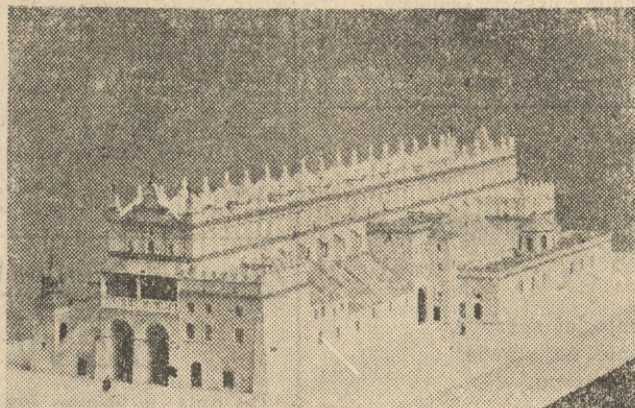
W sali 21 przystajemy w zadumie nad powiększoną

kartą tytułową indeksu książek zakazanych: oto z rozkazu kościoła i klas zachowawczych piono na stosach dzieła tych, którzy walczyli o postęp w poznaniu świata, którzy pragnęli wynalazkami technicznymi wzbogacić życie ówczesnego człowieka. I nie możemy powstrzymać się od optymistycznego zestawienia: przecież i dzisiejsi „mac'Carthyści” palą książki o postępie społecznym lub przedstawiają traktor kierowany przez chłop — spódieląc jako „diabelskie, narzędzie” i przecież są oni równie bezsilni wobec postępu, jak okazali się bezsilni ich „duchowi” przodkowie obskurantyzmu i reakcji.

Ten kawał żywej historii Polski, sygnący o bogactwie eksponatów, budzący w umy-

śle mnóstwo skojarzeń politycznych, historycznych, socjalnych i artystycznych, rodzący nowe myśli o drodze, którą naród polski przeżył, i którą idzie obecnie — nie da się oczywiście opisać nie tylko w krótkiej notatce, ale nawet w dużym artykule. Ma się ochotę wracać tu nieraz, aby dobrze utrwalić w sobie świadomość że nurt polskiego humanizmu przetrwał wieki reakcji, niewoli, straszliwą próbę eksterminacji narodu polskiego i jego kultury, przez hitlerowskich dzikusów XX w. Przetrwał, by wytrysnąć znów — odnowiony i wzbogacony — w dziełach budowniczych Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Dobrze więc, że wystawa Odrodzenia potrwa jeszcze siedem miesięcy. J. W.



CAF — fot. Dąbrowiecki

Model Sukiennic w Krakowie z okresu wczesnego renesansu

Wydawnictwa „Wiedzy Powszechnej”

W ostatnim czasie nakładem Państwowego Wydawnictwa Popularno-Naukowego „Wiedzy Powszechnej” ukazało się wiele ciekawych pozycji książkowych.

Z dziedziny astronomii wydano książkę Eugeniusza Rybki pt. „Wkład astronomów polskich do nauki światowej”. Wydawnictwo to, wzbogacające literaturę Roku Kopernikowskiego o nową pozycję, godne jest ze wszelkich miar uwagi, zarówno ze względu na temat, jak i osobę autora, wybitnego znawcy przedmiotu.

Praca prof. Rybki w popularnym skrócie zapoznaje nas z

dziedziami astronomii polskiej na przestrzeni wieków i ukazuje sylwetki wielu zasłużonych uczonych polskich, którzy pracą swą wzbogacili dorobek naukowy całej ludzkości. Takie nazwiska, jak Wojciech z Brudzewa i Marcin z Olkusza (Młodszy) z okresu przedkopernikowskiego, czy Jana Heweliusza, Jana Śniadeckiego, Prażmowskiego, Baranowskiego i innych, pracujących już w oparciu o rewolucyjną naukę Kopernika — znane są szeroko w świecie nauki.

Z zakresu biologii wydano pracę Jana Zabinińskiego pt. „Wielka rodzina”, omawiającą pochodzenie hodowanych przez człowieka zwierząt domowych i przemiany w ich rozwoju, w wyniku warunków hodowlanych oraz ciekawą rozprawę Wandy Steslickiej pt. „Przodkowie człowieka dzisiejszego”, wyjaśniającą zasady rozwoju człowieka. Wydano także prace uczonego radzieckiego J. Frolowa pt. „Od instynktu do rozumu”.

Z tematyki podrózniczo-naukowej ukazały się dwa przekłady z literatury radzieckiej: W. Wiednina „Panama i Kanał Panamski” oraz raport F. Tałyżina „Przez Iran i Irak”, omawiający wyprawę radzieckich epidemiologów do krajów Bliskiego Wschodu.

Spłute w duży węzeł ciemne włosy opasał biały woal, którego końce swobodnie falowały na wietrze. Zapatrzyliśmy się w naszą księżniczkę z bajki. Była przecież taka piękna.

Hrabina dostrzegła pochylone w polu kobiety. Świsnął pejcz. Zawrócony gwałtownie koń uniósł się w zadnich nogach. Co będzie dalej? Czarny, lśniący koń cwałował przez pole. Tętniły uderzenia kopyt. Biała woalka furgała za hrabiną. Obieciały nas strach. Zagryźliśmy palce. Piękna pani machała ze wściekłością pejcem. Zaczęliśmy płakać. Biedna babcia zasnęła się bezradnie przed padającymi razami. Ktoś płacząco krzychał.

Zastraszeni, przykucnęliśmy w rowie. Kiedy po dłuższej chwili zjawiliśmy się w domu, w izbie siedziała babcia sapiąca jeszcze z wysiłku, zmywając sobie nabrzmiałe krwią oko. Płachty z kłóskami nie było. Na łóżku dygotała od gniewu ciotka Barbara.

— Chyba Boga nie ma — mówiła — jeżeli ta jedza może sobie tak bezkarnie dokazywać z ludźmi. Od dwóch lat groziła nie wypłacił Maryni. Za te ordynarie co dają wyżyć nie można. Jeszcze ta gadzina będzie biła kobiety, że sobie trochę kłósków uzbiera! Bodaż by za to z piekła nie wyszła!...

— Cicho dziecko, cicho — mitygowała ją babcia. — Jeszcze sobie zaszkodzisz. Nic mi nie będzie. Taka już nasza dola i trzeba się z nią pogodzić.

Gdy przyjechaliśmy na następne wakacje w roku 1933 babcia na jedno oko już nie widziała. Zaszło bielmem. Na drugi dzień po przyjeździe wdrapaliśmy się, jak zwykle, na naszą stertę chrustu.

Od strony Bugaju zbliżała się piękna hrabina. Staneła obok krzyża i rzuciła bukiet kwiatów, a potem chwile klepała po szyi parskającego konia. Patrzeliliśmy na nią z obawą. Przeszła być dla nas księżniczką Dobrochną.

Ilustrował F. Śmielowski

Z BUGAJU

sów, które sterczały groźnie na boki. Był to emeryt, jak babcia. Mieszkał z córką Jagusią, pracującą w hrabiowskim majątku oraz małym wnuczkami Stasiem, który nie miał ojca. Jagusi, bowiem jak mówili ludzie, „tak się zdarzyło”.

Antczak spieszył się każdego rana. Pasał bydło u bogatego gospodarza Winkla, mieszkającego na krańcu wsi. Na łakę zabierał z sobą dwie kozy — swoją i naszej babci, za co Winkiel potrącał mu pewien procent wynagrodzenia.

Ranek spędzaliśmy zwykle na wysokiej stercie gałęzi leżących na podwórzu, skąd można było doskonale oglądać wszystko, co działo się we wsi. Gałęzie otrzymywała babcia w deputacie z pańskich lasów. Lichy to był opał, szczególnie w zimie. Trzeba było godzinami stać przy piecu i pchać bez końca szybko płonące gałązki, zanim się trochę ogrzało izba. Latem stos chrustu przed chatą był zaczarowaną górą naszych dzieciennych zabaw.

Wczesnym rankiem przejeżdżała przez wieś na swym pięknym koniu sama jasna pani. Hrabina! Patrzeliliśmy na nią z podziwem, jak na święte obrazy, wiszące w izbie babci. Była dla nas uosobieniem wszystkiego co piękne i dobre. „Być taką panią musi być cudownie — gwarzyliśmy między sobą — dopiero to można ludziom dobrze czynić, jak w tej bajce o księżniczce Dobrochnie, którą przeczytaliśmy z książki pożyczonej od Elżuni — córki lekarza z naszej kamienicy”. Hrabina cwałowała zwykle szybko, krótkim „na wieki” odpowiadając na niskie ukłony mijających ją ludzi. Czasem przystawała na chwilę przy pobliskim krzyżu przydrożnym. Za płotek ogrodzenia zatykała kilka róż ze swego ogrodu. Spoglądaliśmy za nią długo,



do naszej „księżniczki Dobrochny”.

Pewnego rana babcia wstała wcześniej jak zwykle. Kiedy zbudziło nas gdańskie kur już jej nie było w izbie. Wyszliśmy z ciotką Marynią, aby odprowadzić ją do szosy. Ciotka jak zwykle szła do roboty na Bugaj. Mieli w ten dzień zwozić zboże.

Niedaleko szosy, na wielkim polu uwijało się kilka kobiet, spoglądających trwożliwie na boki. Wśród nich była babcia. Poszła na „zbierunkę”, aby zdobyć trochę kłósk, co pozostały po hrabiowskich żniwach. Wrzucała garstkę do płachty leżącej na ziemi. W rowie przydrożnym czekał na babcię, by pomóc jej nieść zawiniątko z kłóskami.

Na drodze, którą niedawno poszła ciotka ukazała się hrabina. Jechała równym, rytmicznym truchtem z lekko pochylając się w siodle.

GWALT OSZUSTWO GRABIEŻ Złotki zbrodni AMERYKANSKICH AGRESORÓW

Dowiedzieliśmy się niedawno z prasy o haniebnym „paktie”, zawartym pomiędzy USA a frankistowską Hiszpanią. Oceniając polityczne i ekonomiczne znaczenie tego układu, słusznie pisał angielski „Daily Worker”: „Tragedia hiszpańska osiągnęła swój punkt szczytowy. Stany Zjednoczone w istocie rzeczy kupiły całą Hiszpanię, za skromną sumę 80 milionów dolarów”.

W zamian bowiem za tę kwotę Ameryka uzyskała w Hiszpanii nie tylko bazy wojskowe, ale całkowitą kontrolę gospodarczą nad tym ogarniętym faszystowskim terrorem krajem.

Nie po raz pierwszy Ameryka dochodzi tą drogą do władania nad cudzym krajem. Świadczy o tym historia Stanów Zjednoczonych od trzech wieków wypełniona gwałtem, oszustwem i grabieżą. Falszerze tej historii usiłują przedstawić rozbójniczą politykę jako „pokojoyą, humanitarną ekspansję”. Zobaczmyż, co się ukrywa za tą obłudną terminologią.

114 wojen i premiowane... skalpy

Kolonie angielskie w Ameryce Północnej zostały założone na początku XVII wieku na ziemiach wydartych Indianom. Już pierwszym krokiem kolonizatorów tawarzyszyły gwałty, rabunki i masowa masakra plemion indiańskich, które zostały niemal całkowicie wypięte.

250 lat istniało w Ameryce oficjalnie uznane niewolnictwo — źródło bogacenia się burżuazji. Drugim ważnym źródłem tego bogacenia się był uprawiany na olbrzymią skalę rozbój morski i handel piracki.

Kapitał amerykański — mówiąc słowami Maritza — „broczył krwią i brudem ze wszystkich swych porów”. Oficjalny, wydany w 1903 roku „Almanach historyczny armii USA” stwierdza, że w ciągu 128 lat swego istnienia Stany Zjednoczone prowadziły 114 wojen, stacząc — do roku 1903 — 8600 bitew. Przytłaczającą większość tych wojen stanowiły krwawe ekspedycje przeciwko plemiom indiańskim. Stąd też niewątpliwie pochodzi trwała „tradycja” armii amerykańskiej, tradycja walki jedynie przeciw słabemu, zle uzbrojonomu przeciwnikowi, barbarzyńskiego tępienia spokojnej ludności.

W r. 1720 Zgromadzenie Ustawodawcze Kolonii Massachusetts uchwaliło, jedyną chybą w historii „ustaw” — premiowania: za każdy skalp Indianina powyżej 12 lat — 100 funtów szterlingów, za jęzika płci męskiej — 105 funtów, za pojmanie kobiety lub dziecka — 55, za skalpy kobiet lub dzieci — po 50 funtów.

Tę ponurą praktykę odziedziczyła również Ameryka po zdobyciu niepodległości: jeszcze w końcu XVIII wieku stan Pensylwanii przeznaczył specjalny fundusz za skalpy Indian, a w czasie wojny z Wielką Brytanią władze amerykańskie kupowały także skalpy Anglików.

„Handel”

ziemią Ameryki

W wojnie przeciw Anglii w latach 1775—1783 kolonizatorzy amerykańscy wywalczyli niepodległość. Ale od pierwszej chwili władzę w nowym państwie — Stanach Zjednoczonych — zagarnęła górna warstwa amerykańskiej burżuazji i plantatorów — właściciele niewolników. Władcy Stanów Zjednoczonych obłudnie i cynicznie maskowali swoje nieograniczone panowanie we wszystkich — wów czas jeszcze 13 — stanach deklaracjami o rzekomym „demokratyzmie” amerykańskiego ustroju. Ale już wówczas fikcje amerykańskiej „demokracji” demaskowali najuczciwsi i najwybitniejsi politycy i pisarze, zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i poza ich granicami. „Ze zdumieniem ujrzelismy — pisał Puszkina — demokrację w jej odrażającym cynizmie. Wszy-



stko, co wzniosło, bezinteresowne, co uszlachetnia duszę ludzką — zostało zdeptane przez bezwzględny egoizm”.

Maskowany obłudny hasłami humanitaryzmu rozpoczynająca się łanucha niesłychanej ekspansji. W latach od 1776 do 1853 terytorium Stanów Zjednoczonych wzrosło z 336 000 mil kwadratowych do przeszło 3 milionów, to jest przeszło 8-krotnie.

Wypróbowany sposób — prowokacja

W ciągu jednego tylko półwiecza — od 1854 do 1903 — rząd Stanów Zjednoczonych zorganizował 50 interwencji zbrojnych, okupując różne terytoria Ameryki Łacińskiej. W roku 1893 drogą zdradzieckiego „przewrotu” doszli Amerykanie do władztwa nad Hawajami.

Tak rozszerzała „pokojoya” Ameryka swoje granice, pokonując 13 stanów, zdobywając dalsze 35, by u progu naszego stulecia wkroczyć na arenę polityki światowej, jako najdroższe z państw imperialistycznych.

Rozpoczyna ten nowy okres grabież Kuby — poprzedzona prowokacją: wojnę z Hiszpanią, ówczesną władczynią Kuby, podjęto jako represję za rzekomo stordedowany przez Hiszpanów okręt amerykański. Dopiero w roku 1915 wyszło na jaw, że okręt ten zatonał wskutek wybuchu kotła parowego. Potem „usmierdzając” rewolucjonistów — zdobywała Ameryka Filipiny. Kolejno roztacza swój „protektorat” nad szeregiem innych wysp na Pacyfiku, staje się mocarstwem kolonialnym, wdzierając się do Chin i Japonii. Od czasu zakończenia I wojny światowej usiłuje zdobyć władztwo nad światem.

Te i wiele innych niezmiennie interesujących faktów, które składają się na istotną historię polityki Stanów Zjednoczonych, przytacza w przejrzystym i wnikliwym kapitalnym dziele radzieckich pisarzy: J. Tomkina i J. Czerniaka pt. „Trzy wieki zbrodni amerykańskich agresorów” (Warszawa, 1953, Wyd. M.O.N., str. 235).

Nurek — podwodny pracownik

Ciężką i odpowiedzialną jest praca nurka na dnie morza lub rzeki w warunkach dla człowieka, spędzającego żywot na powierzchni ziemi — trudnych do zrozumienia. W czasie swej życiowej kariery nurek spędza pod wodą wiele tysięcy godzin życia.

Toteż zawód ten wymaga długiego i wszechstronnego szkolenia. Nurek musi znać wiele specjalności, aby spełniać należycie swe zadania. Trzeba umieć pod wodą spać, być ślusarzem, rozsadzać dynamitem, różną, przybijać, pilnować itd., nieraz przy pomocy specjalnych maszyn i narzędzi pomocniczych.

A nade wszystko trzeba mieć otwartą głowę, mimo iż głowa ta musi być zamknięta w hełm wodoszczelny, nadający nurkowi wygląd niezwyklego stworzenia. Jak to widzimy na ilustracjach.

W Związku Radzieckim całe armie nurków pracują na obszarze tego wielkiego kraju i na wszystkich jego morzach. Albowiem wiele pracy wykonują nurkowie też na dnie rzek i stawów.

Liczne, podczas ostatniej wojny zatopione statki, wyciągnięte na powierzchnię przy pomocy ofiarnej pracy nurków, zostały w dokach wyremontowane i z powrotem pełnią służbę.

Nasze zdjęcie ukazuje wiele naftowe. Na morzu Koło Baku, na wybrzeżu Morza Kaspijskiego wierci się szyby na dnie morza, co oczywiście nie obejrzeli się bez pomocy

brygady wyćwiczonych nurków. A potem z takiego „morskiego” szybu tryska ropa naftowa.

W rzece Bugu radzieccy nurkowie znaleźli prastare czołno, które, zdaniem znawców, wozilo kiedyś słowiańskie zboże i inne produkty rolnicze do starożytnej Hellady. I ten okaz wśród wielu innych zdołał archeologiczne muzeum dzięki pracy nurków.

Nie trzeba dodawać, że ciężka praca nurka wymaga mocnego, zdrowego organizmu. Każdy nurek jest poddawany okresowym badaniom lekarskim, korzysta corocznie z dodatkowych urlopów i leczenia sanatoryjnego. Albowiem tro-



ska o człowieka pracy jest powszechną cechą ustroju walczącego kapitalizm i wyzysk.

E. BIAŁOBORSKI

Ziarno do ziarnka...

Byłoby rzeczą niesłuszną utrzymywać, że przewodnicząca gmina ZMP w Kowalewie, gmina Pleszew popełnia błędy w pracy społecznej, zwłaszcza w akcji skupu zboża. Będów takich absolutnie nie popełnia. Przychodzi jej to tym łatwiej, że akcja skupu w ogóle się nie interesuje.

Stefan Biegańek z Wilkowiej, gmina Jarocin jest dość mocny w rachunkach, ale za



nie w świecie nie mógł rozwiązać zadania algebraicznego, jakie nadesłano mu z Prezydium GRN:

7315 = 2000.

Dopiero przy pomocy usług nych sąsiadów udało mu się w końcu rozszyfrować te dwie tajemnicze cyfry: za o-pieszność w odstawię zaleg-lych 7315 kg zboża kolegium gminne ukarało go grzywną 2800 zł.

Kto w Kowalewie zalega z odstawa 2 ton zboża? Stanisław Zdunek. Kto w Kuczko-wie ukarany został za niedo-trzymanie terminu dostaw? Jego krewniak Stanisław Zdunek. Tu Zdunek — tam Zdunek. Chciałoby się powie-dzieć za Szekspirem: „że się dzieje w państwie z d u n -s k i m...”



Wśród wielkiej liczby mło-dych ludzi gromady Wilko-wyja jeden tylko uzyskał o-pinią sto procentowego meż-czyzny. Jest nim Jan Woś, który pierwszy w gromadzie całkowicie wykonał swój plan zbożowy.

Ilekoć rozmawiać o zbożu z Czesławem Góralczykiem z Turska (gm. Gołuchów), zawsze usłyszymy odpowiedź: „Już nie mam ani snopka”. A okazało się, że jego stóg jest jeszcze mocno nabity. Stóg udało mu się nabić, ale władzy ludowej — nie. J. M.

To rowo.

„Cesarz” Bao-Dal, przeby-wając w Monte Carlo, wzywa sekretarza.

No, dziś może mi pan odczytać wszystkie zaległe komunikaty z wojny w Viet-namie, wygrałem tyle w ru-letkę, że mnie dziś żadna przegrana na froncie nie zmartwi.

W redakcji chadeckiego dziennika w Rzymie naradza-ją się, jak w ostrożny sposób zamieścić wiadomość o stra-szliwej klęsce powodzi we Włoszech północnych.

— Ha, najlepiej tak napi-sać: „Rzeka Pad nawodniła znaczne przestrzenie ziemi u-prawnej”, dzięki czemu kle-ska suszy w tych okolicach zstała zażegnana.

W Los Angeles istnieje szkoła dla dzieci multimilio-nerów kół fornijskich. Jeden z nauczycieli tej szkoły po-dyktował uczniom temat do wypracowania pod tytułem: O bardzo biednej rodzinie. (Dla rozbudzenia uczuć hu-manitarnych).

Prymus opisał bardzo bied-ną rodzinę następująco:

„Ojciec był bardzo biedny,

M. Graczeu i M. Lwów

CON SPIRITO

Satyra radzie ka

Aptekarz z powagą rzucił o-kciem na okładkę pierwszego ze-szytu. Czyta: Kompozytor Hod-



za-Ejnatow — „Pieśń o ojczyź-nie”. Wydanie „Muzgiza” 1951.

— Jaka łacina? Co wam się przyśniło?

— Ale spojrzcie do środka. O, widzicie! Pieśń o ojczyźnie, a co pomiędzy nutami wydruko-wano?

— Ach, rzeczywiście! — mru-kał pod nosem aptekarz. Czyta: andante sostenuto, molto cantabile... un poco, animato...

— Patrzcie, jaki zadają fason.

— Nagle zamilkł i spojrzał na swoich gości dobrymi, przymru-żonymi oczami.

Bogdan Paluszkiwicz

BOGOTA: LABKI

Raz pewien bocian w doniosłej sprawie, Zebrał więc żabi w trzcinie na stawie. Ustawił żabki w jednym szeregu, Na prawej nodze stanął na brzegu, Po czym przybrawszy minę podniosła Tak rzekł: „Mam sprawę bardzo doniosłą Dla stawowego żabek aktywu.

A więc o udział w dyskusji proszę Członków naszego hm... kolektywu! Niech każdy sprawę rozważy sobie, A potem śmiało zdanie swe powie”. Potoczył wokół po żabkach wzrokiem, Wzniósł nogę, stanął do stawu bokiem I referował przez dwie godziny, Analizując reform przyczyny.

Zreferowawszy moc różnych rzeczy, Zapytał: „Czy ktoś jest temu przeciw?” „Tak” kumknie z wody któraś z aktywu, Również członkini hm... kolektywu.

„Chciałam w tej sprawie, drogi bocianie, Powiedzieć jedno krytyczne zdanie”. „O, koleżanka burzy porządek. I gdzie tu rozum? Gdzie tu rozsadek?” To mówiąc bocian wolno podchodził, Nogami w wodzie przybrzeżnej brodził, I nagle... łap... już ma ją w dziobie. Połknął. „Sama winna sobie — Powiada bocian — kto krytykuje Ten niszczy, szkodzi, burzy, rujnuje...”

Tu głos mu zamarł w krtani ściśnięty, Chrapnął raz jeszcze, po czym jak ścięty Runął w sitowie, dławiąc się srodze.

Każdemu się tak przydarzyć może, Kto nie wie co to słuszną krytyka I kto jej sprawcę chciałby połykać.



Fraszki

— DO KULAKA — FRASZKA TAKA

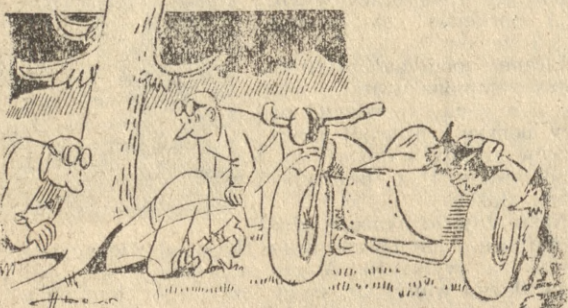
Nie ma trzeciego wyjścia na próżno więc się biedzisz skoro nie odstawiłeś: zapłacisz, lub odsiedzisz.

— DO LI SYN-MANA, BY „JAK FORRESTAL SKO-CZYŁ I WRESZCIE POD-ŻEGAĆ PRZESTAŁ.”

Wiem, że nie masz tam drapaczów lecz nie trać fasonu: z samolotu podęchaj skocz — bez spadochronu.

JARD.

... co roku kluby motocyklowe urządzają trad-cyjny bieg „za lisem”



— Psiakość! Przed chwilą jeszcze tu byli...

— Moi kochani. Choć zabijcie, nie nie rozumie. To nie po łacinie, lecz po włosku.

Nastąpiła wycieczka cisza. Twarze młodej pary wydłużyły się — przemknęło przez nie rozczarowanie. Wreszcie Pietia No-sow nie wytrzymał.

— No, jakże to? Przecież Wło-si są potomkami Rzymian i jezyk włoski od łaciny pochodzi.

— Tak, to tak. Prawda, pocho-dzi od Rzymian, ale z łaciny tyl-ko korzonki u nich pozostały.

— Kochany, drogi Iwanie Pio-trowiczu — spróbujcie odnaleźć te korzonki — prosiła Lubasza, podnosząc rączki do góry.

Aptekarz ciężko westchnął, ru-szył wasami i zaczął czytać.

— Tak „Allegro con brio... un poco... con spirito”. Czekaj-cie! Coś tu znajomego. Con spi-rito. Ach tak, naturalnie spirito — spiritus vini. A „con” zapew-ne „z”. Już wiem. Con spirito znaczy — ze spirytusem.

— Nie. To niemożliwe. Jak można wykonywać utwór mu-zyczny ze spirytusem?

Aptekarz zamilkł i lekki pot zrosił jego czoło.

— W rzeczy samej. To coś nie wychodzi. Wiedcie co, napiszcie do Moskwy do Wszczężwisko-wego Domu Twórczości Ludo-wej.

Lecz los okazał się dla kierow-nika świetlicy i śpiewaczki wie-

skiej łaskawszy. W najbliższą niedzielę do kołchozu „Nowa Droga” przybył zespół Okręgo-wej Filharmonii. Najczynniej-szymi gospodarzami byli Nosow i Lubasza. Po koncercie pomie-dzy artystami a słuchaczami za-wiazała się sie życzliwa, przyja-cielska rozmowa o sztuce. Luba-sza zdobyła się na odwagę i za-pytała pianistę:

— Powiedźcie, towarzyszu, co znaczy — con spirito?

— Z uduchowieniem. A dla-czego pytaacie?

Lubasza opowiedziała swe klo-poty z nutami. Pianista uśmiech-nał się, poprosił o nuty i wszy-skie słowa włoskie przełożył na język rosyjski. Dodał przy tym, że właściwie kompozytorzy za-pominają, że muzyka od dawna przestała być wyłącznie znaw-ców, mających konserwatoryjne dyplomy.

Zegnając się z artystami Luba-sza i Nosow gorąco ściskali im ręce.

— Dziękuję, towarzyszu! W imieniu wszystkich kołchożni-ków, a specjalnie naszego koła śpiewaczego. Długo i serdecznie będziemy was wspominać.

A Lubasza, pokazując swoje oślepiająco białe ząbki i dolecz-ki na policzkach, dodała przy-milnie:

— Długo i... con spirito.

(„Krokodil” — tłum hb)

Zbigniew Grotowski

SZWAGIER

Od dnia, w którym Podol-czyk ożenił się wszyscy w b'u rze słuchali jego przechwa-łek.

— Ho ho, co ja mam za szwagra! W lecie był w Buł-garii. Jak go tam przyjmowa-ł. Wczoraj zaś wybrano go przewodniczącym...

Koledzy nie dosłyszeli: jakiego to zarządu został prze-wodniczącym szwagier Podol-czyka, bo właśnie wszedł dy-rektor i rozmowa urwała się.

Lecz po kilku dniach Po-dolczyk znowu wrócił do te-go tematu.

— Mój szwagier miał wczoraj wielki dzień. Przyjmował delegację studentów zagra-



nicznych. Wszyscy słuchali z zapałem oddechem, gdy przemawiał. Pieknie zdol-na bestia. Bardzo wysoko zajdzie. Wszyscy mu to prze-powiadają.

Koledzy z coraz większym szacunkiem spoglądali na Podolczyka.

— Z takim lepiej być na dobrej stopie, ma takiego wpływowego szwagra

— Właśnie w razie potrze-by może pomóc.

Nazajutrz Podolczyk przy-szedł do biura z rewelacyjną wiadomością.

— Co za pióro ma mój szwagier. Jaki artykuł rąb-nął do gazety.

Koledzy z jeszcze większym podziwem spoglądali na Po-dolczyka.

W kilka dni później dyrek-tor naradzał się ze swym za-stępca.

— Mamy taki podły lokal. Już tyle razy interweniowa-łem o przydział czegoś lep-szego. Ale tam się nie spie-sza. Nie mamy protekcji.

Zastępca dyrektora stuk-nął się w czoło.

— Protekcja zaraz się znaj-dzie. Szwagier tego naszego Podolczyka to jakaś niezwy-kle wybitna figura. Jeździł do Bułgarii, przyjmował de-legację zagranicznych stu-dentów, jest jakimś ważnym przewodniczącym, rąbie świetne artykuły do gazet. Z takim każdy się liczy. Mo-że on by nam pomógł.

— Świetna myśl — zawo-łał dyrektor — już od dawna zwracam uwagę na tego Podolczyka.

Dyrektor wezwał Podolczy-ka.

— Słuchajcie kolego (po raz pierwszy tak go nazwał) już od dawna zwracam bac-ną uwagę na waszą pracę. Pomyślimy o awansie no-wo premii.

Podolczyk uklonił się

— Bardzo dziękuję, panie dyrektorze — naprawdę nie-wiem, jak mam dziękować.

Dyrektor łaskawie pokle-pał Podolczyka po ramieniu.

— Nie macie za co dzięki-wać, drogi kolego. Należy się wam. Ach, właśnie urzą-dzam u siebie takie małe spotkanie towarzyskie. Mo-że by pan zaszedł do nas. Oczywiście z żoną i szwa-grem. Tyle o nim słyszałem.

Podolczyk rozpromienił się na wspomnienie szwagra.

— Będziemy panu dyrek-torowi niezmiennie zobowią-zani!

— Szwagier nie będzie się u nas nudził. Przyjdzie ra-sza siostrzenica. Ach czy pański szwagier lubi cygara a jakie wino pija?

Podolczyk obruszył się.

— No, ja bym mu dał pa-lenie lub picie... wytrępał-bym mu skórę.

Dyrektor pobladł.

— Jak się pan wyraża o szwagrze, który jest prze-wodniczącym...

— ...samorządu szkolnego.

— dokończył Podolczyk — Doskonale się uczy i dlatego wysłano go na kolonię do Bułgarii. Bardzo zdolna be-stia i wysoko zajdzie. Jak on świetnie przemawiał, gdy studenci zagraniczni odwie-dzili jego szkołę. Po tym kropnął znakomity artykuł do szkolnej gazетки ściennej. Dziękujemy za zaproszenie. Przyjdziemy na pewno ze szwagrem...

CENNIK na „mięso armatnie”

Z PRASY: „Wall Street Journal” podaje oficjalne ko-szty utrzymania rocznego jednej dywizji amerykań-skiej, porównując je z niski-mi stosunkowo „cenami” jed-nej dywizji krajowej, które sprzedawały USA swoją „siłę wojskową”:



Najwięcej jest warte, bo to [trzeba przyznać: danie à la carte — wojskowa [dziec-yna.



Jest o wiele tańsze, choć też [znakomite, zwłaszcza we własnym sosie [i jak befsztyk — bite.



Miękkie są — i kruche dość [szybko (nie powiem). — Szynki szpikowane — [vietnamskim ołowiem.



Tylko może galareta nie najgorsza na tym „mięsie” — jednostronna jest w zaletach: ledwo dotkniesz — już się [trzęsie!

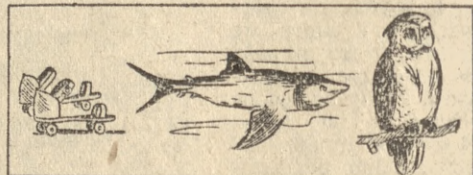
Cennik zestawil: JERZY DRAJCZ



... i dla tej przyjemności należy do Związku Łowieckiego!

ROZRYWKI umysłowe

1. Anagram literacki



Z 15 liter, wchodzących w skład 3 zilustrowanych słów, ułożyć imię i nazwisko radzieckiego pisarza — autora znanej powieści — pamiętnika, której tytuł przy nadsyłaniu rozwiązań należy również nam podać. Dla ułatwienia podajemy: 1) imię pi-sarza otrzymacie z przestawie-nia liter pierwszego zilustrowa-nego słowa; 2) początkowe lite-ry wyrazów, składających się na tytuł książki, brzmią: W. O. S

2. Zagadki — żarciki

1) Trzy litery postaw w rzędzie, a nie łađa radość będzie

2) Trzy zaimki razem złoż

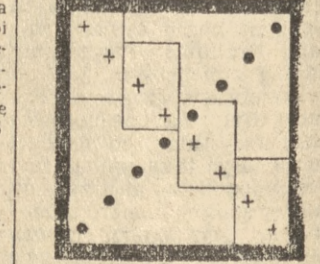
3) powiedz skończony już

—o—

Wśród osób, które nadesła-ły prawidłowe rozwiązania, prze-rzajmniej jednego zadania roz-wikowego, rozlosujemy 5 war-ościowych nagród książkowych. Rozwiązania należy nadsyłać w terminie tygodniowym pod adre-s: Redakcja „Głosu Wielko-polskiego”, Grunwaldzka nr 19, z dopiskiem na kopercie „Roz-rywki umysłowe”.

Rozwiązanie zadań z poprzedniego „kącika

1. Wycinanka:



2. Składanka: Niech krzepni nierozważna przyjaźń Polski i ZSRR.

Nagrody książkowe wylo-sała: Felunia Byczkowska — Września, ul. Kościelna 8. Sta-nisław Nowak — Poznań. Wa-tyniańska 11/1 Jan Krajewski — Lubonicek nr 6 poczta Za-niemysł Stefania Jurek — Sta-rylas — poczta Ligata k. Plesze-wa, W Bąk — Poznań, Jackow-skiego 43/5.